



Z Mariuszem Bogdanowiczem o byciu kontrabasistą i pedagogiem, o pracy z ludźmi, których się lubi i którzy cię lubią, o tym, że sam zimny profesjonalizm to zdecydowanie za mało, a „grać” i „bawić się” w języku angielskim to nie bez przyczyny jedno słowo oraz o wygranej w totolotka rozmawia Wojciech Mościbrodzki, foto Natalia Wierzbicka

Przy Tobie z kontra- basem



– **Trzy miasta. Z Gdańska pochodzisz, w Warszawie mieszkasz, w Lublinie nauczysz.**

– W Gdańsku się urodziłem, tam zacząłem uczyć się muzyki i grać jazz w Big Bandzie Gdańsk. Grałiśmy często w legendarnym klubie Żak. Miałem wielkie szczęście, że chodziłem do Topolówki, czyli słynnego gdańskiego III LO. Polskiego uczyła mnie charyzmatyczna pani profesor Irwina Borkowska, zawdzięczam jej całą moją miłość do literatury. Też we Wrzeszczu, przy ulicy Partyzantów, była moja średnia szkoła muzyczna. Życie zadecydowało, że po ukończeniu Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach osiadłem razem z moim kontrabasem w Warszawie. W latach 80. i 90. w stolicy wiele się działo. Grałem bardzo dużo. Sporo też na gitarze basowej. Pochwałę się, że piękna piosenka Wieśka Pierogorólki i Jacka Cygana, którą śpiewał Andrzej Zaucha, *Ces't la vie*, jest z moją basówką! 10 lat temu zacząłem uczyć na Wydziale Artystycznym UMCS, na kierunku Jazz i Muzyka Estradowa. No i był to czas pierwszych stałych koncertów w Lublinie, w ówczesnej Jazz Pizza.

– **Kontrabas to duży instrument. Jesteś z nim związany od ponad czterdziestu lat. Jak narodziła się ta miłość?**

– Przez pięć lat grałem na skrzypcach. Na kontrabasie zacząłem grać w wieku 15 lat i od początku chciałem być kontrabasistą jazzowym. Muzyki poważnej w ogóle nie brałem pod uwagę. Na studiach uczył mnie prof. Andrzej Zubek, wspaniały człowiek. Po latach również promotor mojego doktoratu. Wydział Jazzu w Katowicach to była wtedy (na początku lat 80.) „ziemia obiecana” młodych jazzmanów, jedyny w Polsce, tylko dziesięć miejsc na roku. Status ten utrzymywał się jeszcze przez wiele lat. Wtedy dziekanem był Andrzej Szmidt. Wspaniały człowiek. Napisał pierwszą w Polsce *Historię jazzu*. Jego wykłady były kultowe.

– **Co ci jest potrzebne w komponowaniu muzyki? Cisza, spokój? Co cię stymuluje?**

– Pierwszy polski jazzowy performer Helmut Nadolski mawiał: „Jak chcę posłuchać dobrej muzyki, to biorę kontrabas i gram” (śmiech). Ja te moje melodie często wymyślam, ćwicząc na kontrabasie. Ponoś mi fantazja i przychodzą do głowy różne takie tam... Jakaś linia basowa inspiruje mnie, żeby na jej bazie stworzyć jakieś coś. Pomiędzy tymi dwoma głosami jest harmonia i tylko trzeba to zapisać. Siadam do pianina, włączam komputer i... jest. Oczywiście bywa też zupełnie inaczej. Bardzo lubię pisać piosen-

ki do tekstu. Nie za bardzo można zdefiniować ten proces. Z reguły to impuls chwili. Kilka utworów powstało na przykład w trakcie prób teatralnych. Ad hoc je wyimprowizowałem i jak się zorientowałem, że nieźle wyszło, obudowałem formą. Tak jest np. z *Emigrantami* płyty *Syntonia*. Powstali tu, w Lublinie, w Centrum Kultury, w trakcie pracy nad sztuką Mrożka. Później Andrzej Poniedziałki dopisał do tego piękny wiersz.

– **A Twoje fascynacje muzyczne, inspiracje, inni wykonawcy?**

– Nie potrafiłbym wymienić kilku nazwisk. Tak się nie da, całe życie się na to nakłada. Na początku interesowałem się muzyką rockową. Nawet popową. Ale zawsze lubiłem piosenki. To obciążenie genetyczne. Mój tato, Leszek Bogdanowicz, był kompozytorem, aranżerem muzyki rozrywkowej i jazzowej, założycielem pierwszego polskiego zespołu rockandrollowego Rhythm & Blues i posiadaczem pierwszej w Polsce gitary elektrycznej. Był także dyrektorem muzycznym festiwalu opolskich. Odkąd pamiętam, słuchałem Czerwonych Gitar, Skaldów, Breakoutów, Grechuty, Niemena, ale również Jerzego Połomskiego i Ireny Santor, z którymi tato wielokrotnie współpracował. Z panią Ireną byli na jednym z pierwszych festiwalu Yamahy w Tokio w 1970 roku. Z Europy był jeszcze Michel Legrand...

– **A jazz?**

– Po kolei. Później, po muzyce polskiej, przyszła fascynacja muzyką rockową, rzecz jasna The Beatles. Tato podsunął mi *Abbey Road*, jak miałem dziewięć lat. To idealna płyta na bezludną wyspę. Tam jest cała tablica Mendelejewa popu i rocka. Rok później (1970) ojciec zabrał mnie na *Blood, Sweat & Tears*. Ten koncert zmienił moje życie! Potem był hard rock: *Led Zeppelin*, *Deep Purple*, *King Crimson*, *Genesis*, *Pink Floyd* (*Dark Side of the Moon* to kolejna płyta na bezludną wyspę). Aż w pewnym momencie „przeskoczyłem” na muzykę jazzową. Miałem wtedy 15 lat i już grałem na kontrabasie. Ojciec tylko na to czekał i zaraz pokazał mi *Atomic Mr. Basie* Counta Basiego i powiedział: „Synku, słuchaj tego – tutaj wszystko jest”. Ta płyta to kwintesencja swingu i korzeni muzyki jazzowej. Potem poszło już szybko. To była połowa lat 70. Triumfy święcił elektryczny Miles Davies. Tutaj też ojciec dał mi płytę *Bitches Brew*, ale to było wtedy dla mnie za trudne. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, jakim wizjonerem był Miles. Poza tym Chick Corea z *Return to Forever*, *Mahavishnu*, no i *Weather Report*.

– **A co z kontrabasistami?**

– Miałem świadomość tego, że aby nauczyć się grać na kontrabasie jazz, muszę zacząć od podstaw, a nie od jazz rocka. Tabliczką mnożenia w jazzie jest mainstream. Trzeba się nauczyć grać „walking”, bo to jest baza. Więc słuchałem tria Oscara Petersona. Archetypiczne linie Raya Browna zawsze będą biblią

basistów. Fascynowałem się oczywiście też innymi kontrabasistami. Ron Carter, Eddie Gomez, Scott La Faro, Stanley Clark i europejski fenomen, moja wielka miłość – Niels-Henning Ørsted Pedersen. No i jeszcze jeden. Nikt w historii jazzu nie zrewolucjonizował gry na jednym instrumencie tak bardzo jak on – Jaco Pastorius – gitarzysta basowy wszech czasów. Wiem, że to truizm... To byli moi mistrzowie. I są cały czas.

– **Włodzimierz Nahorny. Trio, Sextet i Ty.**

– Mam wielkie szczęście, że na swojej artystycznej drodze na początku lat 90. spotkałem Włodka Nahornego. Zaproponował mi współpracę, która trwa do dziś. Przyjaźnimy się, jestem jego kontrabasistą, producentem i wydawcą płyt. Gram w jego trio, sextecie i innych projektach. Ktoś bardzo trafnie napisał, że Nahorny to Chopin jazzu. To artysta niemający sobie równych, nie tylko w Polsce. Ma osobisty język i swój sposób komunikowania się z publicznością. Z jednej strony jest liryka, a z drugiej Włodek to przecież nowator i artysta awangardowy. W jego graniu wyraźnie słychać, że to zawadiaka i niespokojny duch. Nie ma u niego dwóch podobnych koncertów, to wycieczka w nieznaną. Jest rozpoznawalny już po paru taktach. Mój guru i mój mistrz. Wygrałem w totolotka!

– **A Heavy Metal Sextet?**

– To był mój pierwszy „profesjonalny” zespół. Zrobiliśmy wielką karierę. Zespół istniał od marca 1982 do grudnia 1984. Wszyscy byliśmy wtedy na studiach w Katowicach. To była najszybsza kariera w historii polskiego jazzu. Wygraliśmy festiwal Jazz Junior w Krakowie i sporo innych konkursów, również międzynarodowych. Posypały się propozycje koncertowe, festiwalowe i płytowe. Grałiśmy wszędzie, włącznie z Jazz Jamboree. Zajmowaliśmy pierwsze miejsca w ankietach. No i... Skończyły się studia i każdy poszedł swoją drogą. Kilka lat temu reaktywowaliśmy HMS i gramy raz w roku trasy koncertowe.

– **A zagadkowo brzmiące słowo Syntonia?**

– Uwielbiam grać koncerty. Najważniejszy jest dla mnie kontakt z publicznością. Komunikatywność muzyki, jaką staram się tworzyć, jest w pewnym sensie zwieńczeniem teorii, którą intuicyjnie czułem całe życie. *Syntonia* to pojęcie z psychologii, które oznacza podejście do ludzi charakteryzujące się chęcią nawiązywania bliskich kontaktów emocjonalnych. To przecież definicja muzyki. Tak się nazywa moja przedostatnia płyta.

– **Masz niezwykłą umiejętność dobierania muzyków do swoich projektów.**

– Niezmiernie cenię sobie kontakty międzyludzkie. To logiczne – fajnie się pracuje z ludźmi, których się lubi i którzy cię lubią. To się wszystko uzupełnia, i... to słychać... Trzeba trochę „pohangować”. Sympatia – empatia – syntonia. Proste. Wydaje mi

się, że sam zimny profesjonalizm to zdecydowanie za mało. Może to niewspółczesne podejście. Może już jestem „old fashioned”... (śmiech)

– **Rozmawiamy chwilę po premierze nowej płyty Przy Tobie – Mariusz Bogdanowicz – piosenki. Jedenaście Twoich piosenek.**

– Autorami tekstów jest plejada gwiazd pióra: Andrzej Poniedziałki, Jan Wołek, Wojciech Młynarski, Marek Gaszyński, Justyna Holm, Wojciech Ziębicki, Maria Przybysz i Stefan Łęczyński. To są przepiękne liryczne wiersze. To jest taka płyta życia. Pisałem te piosenki, odkąd poważnie zacząłem zajmować się muzyką, czyli od lat 80. Niektóre były pierwotnie utworami instrumentalnymi, inne powstały oryginalnie jako piosenki. Jak już wspominałem, zawsze lubiłem piosenki, wychowałem się wśród nich. Ktoś powiedział, że śpiew to uroczysta forma mowy. Zgadza się. Jak wspomnę jeszcze o mojej fascynacji literaturą, to będzie komplet. Tu zrobię dygresję, bo później może nie być okazji. Wymienię choć na skrót kilka moich literackich hitów: *Weisser Dawidek*, *Mercedes-Benz*, *Castorp* Pawła Huelle, *Sto lat samotności* G.G. Márqueza, *Paragraf 22* Hellera, Hłasko, Kurt Vonnegut. Poza tym fraszki Sztudyngera, no i jeden z najwybitniejszych umyśłów, jakie

zrodził nasz naród – Tadeusz Boy-Żeleński, to dzięki niemu zafascynowałem się Młodą Polską. O poetach nie wspomnę... Musiałem to powiedzieć! (śmiech).

– **Wróćmy do Przy Tobie.**

– Nie do końca pisałem te piosenki do szuflady. Pokazywałem je różnym „gwiazdom”, ale widocznie nie przypadły im do gustu. Włodek Nahorny opowiadał mi, że *Jej portret* (utwór uznany za najpiękniejszą polską piosenkę) pokazał pierwotnie Jerzemu Połomskiemu. I ona mu się nie spodobała. Skutkiem tego zaśpiewał ją Bogusław Mec i przeszedł razem z nią do historii. Jurek publicznie się do tego błędu przyznał. To może tak *per analogiam*... będzie z moimi...

– **To bardzo kobieca płyta.**

– Piosenki śpiewa sześć wokalistek. Ania Michałowska, Kinga Ziółko, Paulina Mazepa, Katarzyna Maziarczyk, Natalia Nejman i Monika Szymczyk. Liryczne piosenki w wykonaniu wspaniałych dziewczyn. One naprawdę dobrze śpiewają. Niczego nie brakuje! Co więcej trzeba? A my wszyscy bardzo lubimy akompaniować śpiewającym dziewczynom! (śmiech) Do udziału w nagraniach zaprosiłem muzyków według klucza opisanego powyżej. Sami najbliżsi, prawie jak rodzina. W jednym utworze na fortepianie gra



Mariusz Bogdanowicz, rocznik 1960. Muzyk jazzowy, kontrabasista, kompozytor i aranżer, pedagog, producent i wydawca fonograficzny. Osoba o niespotykanej autoironii i poczuciu humoru. Pochodzi z Gdańska. Dużo czyta, lubi odpoczywać na Kaszubach. Publikuje m.in. na łamach „Jazz Forum” i „TopGuitar”. Od dziesięciu lat wykładowca na Wydziale Jazzu i Muzyki Estradowej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie prowadzi klasę kontrabasu i gitary basowej. Autor czterech płyt, z których ostatnia „Przy Tobie” miała premierę w październiku tego roku. „LAJF magazyn lubelski” jest patronem medialnym płyty.



Włodek Nahorny, w kolejnym Paweł Tomaszewski, pozostałe utwory na fortepianie gra świetny lubelski pianista i kapitalny człowiek – Michał Iwanek. Na perkusji Sebastian Frankiewicz, na trąbce Piotrek Szmidt, Adam Wendt na saksofonach (z nim się znamy prawie 40 lat!), Marcin Olak na gitarze i Rafał Kazimirski też na gitarze (mój student). Ja nie mam pytań.

– **Z drugiej strony płyta jest też bardzo lubelska.**

– Przy Tobie to dla mnie płyta nierozdzielnie związana z Lublinem. Pomimo że nagrywana i produkowana w Warszawie, powstawała w Lublinie (nie do przecenienia jest rola realizatora, współproducenta i mojego przyjaciela Piotra Senczuka). Tu były pierwsze próby, pierwsze koncerty. Tutaj ta substancja fermentowała. No i może najważniejsze, wszystkie wokalistki wywodzą się z Wydziału Artystycznego UMCS, ze wspomnianego już „mojego” kierunku. Ania Michałowska wykłada wokół, pozostałe dziewczyny jeszcze są studentkami bądź były nimi do niedawna. Muszę jeszcze powiedzieć, że bardzo ważne było wsparcie i dobre słowo wielu osób z Wydziału. Bez nich chyba *Przy Tobie* by nie powstało, albo później i nie takie. Było zupełnie naturalne, że koncert

premierowy musi być tu. A tak już poza wszystkim, w Lublinie w ogóle jest świetnie. I tyle.

– **Ukazanie się płyty jest rodzajem podsumowania lat pracy, nawiązanych tu kontaktów.**

Żadne podsumowanie! To dopiero początek! Na Wydziale Artystycznym uczę od dziesięciu lat. Czuję się z nim bardzo związany. Praca z młodzieżą daje niesamowicie dużo energii. Entuzjazm i spontaniczność młodych ludzi są zaraźliwe. Jako dojrzały muzyk chcę się podzielić z innymi swoją wiedzą i doświadczeniem. To jest przedłużanie młodości. Taka terapia. My jesteśmy razem nie tylko na zajęciach. Czasem chodzę ze studentami, no... na piwo. I rozmawiamy, mamy fajny kontakt. Śpiewanie „moich” (śmiech) dziewczyn jest niezwykle. Jest naturalne, spontaniczne i pełne młodości. One nie są skażone tą „profesjonalną rutyną”. I to tak inspiruje i udziela się, że granie z nimi to fantastyczna przygoda i zabawa. Nie bez przyczyny w języku angielskim grać i bawić się to jest jedno słowo. Na płycie *Przy Tobie* jest dużo zabawy, ale też refleksji i zadumy. Ot, taka złożoność. Polecam. ■